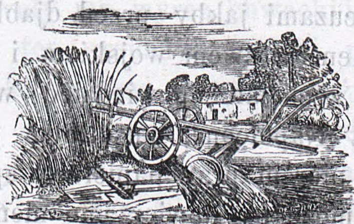
Tom I. 21. Marca 1870. Nr. 9.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Józef Jastrzębski

dzielny wojak polski.

Przed sześćdziesięciu laty wielkie dziwa działy się na świecie. Na tronie francuskim zasiadł cesarz Napoleon, tak wielki wojownik, że od początku świata aż do dzisiaj znalazłoby się zaledwie kilku rycerzy do niego podobnych. Napoleon był synem ubogich rodziców, ale rzadki rozum utorował mu drogę do najwyższych dostojeństw wojskowych a w końcu nawet osadził go na tronie takiego wielkiego i rozumnego narodu, jakim są Francuzi. Osiadłszy na tronie cesarz Napoleon dokazywał cudów prawdziwych bez końca i miary. Ciągle prowadził wojnę a przytem zawsze bił nieprzyjaciół daleko silniejszych od siebie. Jednego roku wypowiedział wojnę Prusakowi i zbił go na kwaśne jabłko, drugiego roku wytrzepał tęgo skórę moskiewskiemu carowi, a zaraz potem za jednym zamachem zapędził się aż pod Wiedeń i sprawił Austryakowi gorącą łaźnię. Ale nie koniec na tem. Nieraz wyruszyło na Napoleona kilku monarchów na czele licznych wojsk. Ale to wszystko na nic się nie przydało. Napoleon wyszedł przeciw nim z daleko mniejszemi siłami, natarł odważnie na nieprzyjaciela i nie minęło jeszcze kilka godzin a już plac boju zasypany

trupami moskiewskimi i austryackimi, wojsko nieprzyjacielskie ucieka przed Francuzami jakby przed djabłami, a cesarz Napoleon pędzi za niem z swem wojskiem i okrutnie bije! Ale gdybym wam tu zechciał opowiedzieć wszystkie wojny i zwycięztwa cesarza Napoleona, musiałbym przynajmniej przez rok cały siedzieć z piórem przy papierze i spisać bardzo grubą książkę. A jeżeli może nie dowierzacie memu opowiadaniu, to postawić mogę żywych świadków, boć jeszcze żyje niejeden wiarus, co bił się w wojsku cesarza Napoleona. Polaków bardzo dużo miał Napoleon w swojem wojsku. Obiecywał on naszą ojczyznę odbudować. Raz nawet pobiwszy na głowę Moskala odebrał mu tęgi kawał ziemi polskiej i utworzył Księstwo Warszawskie. Gdyby był trochę dłużej pożył i na tronie się utrzymał, byłby może nawet całą naszą ojczyznę wyrwał z rąk nieprzyjaciół.

Nie dziw tedy, że Polacy lgnęli do cesarza Napoleona i bili się z jego nieprzyjaciołmi. A wszyscy bili się tak odważnie i dzielnie, że Francuzi i cesarz bardzo ich poważali. Jeżeli gdzie potrzeba było śmiało uderzyć na nieprzyjaciela, rzucić się prędko w ogień największy i wyprzeć wroga z miejsca, wysyłał Napoleon zawsze najpierw Polaków i nigdy się nie zawiódł na ich męztwie. Polacy spadali jak wicher na nieprzyjaciela, a za chwilę wracali już jako zwycięzcy. Cesarz Napoleon witał ich serdecznie, chwalił, a gdy mu się jaki wiarus polski szczególniej podobał, przybliżał się do niego, wypytywał się go po polsku, zkąd jest rodem, jak się nazywa, czy jest zadowolony z swego zawodu i poklepał go przytem kilka razy po ramieniu.

Takim dzielnym żołnierzem polskim był Józef Jastrzębski, grenadyer z pułku jenerała Wybranowskiego. Aż miło patrzyć na takiego chwata! Był to bowiem chłop wysoki jak dąb, a silny jak niedźwiedź. Dość było spojrzeć na twarz jego a zaraz można było poznać, że nie jedną już wojnę przetrwał. Na czole miał szram, którędy prześliznęła się szabla pruska, koło ucha ciągnęła się długa bruzda, którą wyryła w innej bitwie kula moskiewska, a oprócz tego pozostały jeszcze znaki kilku mniejszych ran, które zadano mu w kilkunastu bitwach

i potyczkach. Te rany zabliźnione i wąsy grube i długie jak dwie miotły, nadawały mu wyraz chwacki i rycerski. Osobliwie dzielnie wyglądał ten grenadyer polski podczas bitwy, gdy dano znak do ataku a krew w żyłach raźniej krążyć zaczęła. Jastrzębski szedł nieustraszony z bagnetem na nieprzyjaciela a oczy mu się przytem tak iskrzyły, z twarzy wyglądało takie męstwo i zapał, że niejeden Niemiec lub Moskal na sam widok takiego grenadyera polskiego rzucał swój bagnet na ziemię i uciekał co tylko tchu stało. Ale jeżeli Jastrzębski życie jakiego Moskala na wąs sobie namotał to i ucieczka nie pomogła, bo w największem oddaleniu trafiał każdego kulą tam, gdzie wymierzył. Był bowiem synem Kurpia a potem strzelcem u pułkownika jednego i tam się wyuczył strzelać tak celnie, że wszyscy żołnierze z jego pułku patrzali na niego jak na diabła i posądzali go o jakieś czary. Jastrzębski wyszczególniał się w wojsku zawsze celnemi strzałami, ale raz się tak gracko spisał że zręczność jego aż w książce nawet zapisano. Opowiem wam tutaj co o Jastrzębskim wyczytałem w książce, w której jenerał jego Wybranowski opisał swe koleje i przygody wojenne.

W r. 1813 stał Jastrzębski z pułkiem swoim w mieście niemieckiem Lipsku. W tej chwili właśnie cesarz Napoleon nie trzepał nikomu skóry, więc wojsko francuskie i polskie odpoczywało po trudach wojennych. By jednakże i w spokoju wojsko w ciągłem lenistwie czasu nie spędzało, więc najstarszy jenerał francuski rozkazał, by z każdego pułku wybrano co najlepszych strzelców i posłano ich do innego miasta niemieckiego Dessau, gdzie mieli do celu strzelać. Jenerał Wybranowski wybrał z swego pułku Jastrzębskiego, a potem jeszcze kilku innych, i wraz z innymi francuskimi strzelcami pospieszył do Dessau. Ale po drodze frasował się mocno jenerał, bo wiedział że kiedy żołnierz francuski bardzo dobrze strzela, więc bardzo łatwo mogliby się przy nich jego żołnierze powstydzić. Zafrasowany jenerał zbliżył się do swego najlepszego żołnierza Jastrzębskiego i zapytał:

— No jakżeż będzie, Józefie?

— Dobrze panie jenerale! — odpowiedział Jastrzębski rezolutnie. — Gdyby nawet djabeł siedział w tarczy to muszę

trafić w sam środek, albo sobie samemu w łeb strzelę, jeżeli mi się nie uda.

Ta odważna odpowiedź Jastrzębskiego zaspokoiła trochę jenerała. A Jastrzębski uśmiechnął się do swego karabina i szedł dalej odważnie.

Wreszcie przyszli wszyscy strzelcy na miejsce, gdzie mieli strzelać do celu. W odległości kilkuset kroków przybito do słupa okrągłą tarczę, na której porobiono kółka zwężające się coraz więcej ku środkowi. Ostatnie kółko było bardzo małe a w środku samym tarczy stał już tylko punkt czarny. Cała sztuka polegała na tem, by trafić w ten punkt środkowy. Tarcza była tak sztucznie przybita do słupa, że skoro tylko kula czyja ugodzi w sam środek, z tyłu pokazać się miał bardzo piękny fajerwerk.

Była to bardzo ładna i ciekawa zabawka; więc prócz jenerała, oficerów i wojska, zeszło się jeszcze bardzo dużo ludzi z miasta.

Strzelcy stanęli wreszcie przed tarczą. Jenerał oznajmił im, że kto trafi w sam środek tarczy, dostanie za to w nagrodę 150 złotych. Oficerowie postawili potem strzelców w takim porządku, w jakim do tarczy strzelać mieli. Pierwsi z kolei strzelać mieli Francuzi, a dopiero po nich następowali Polacy.

Zrobiło się nagle cicho, jakby mak siał. Pierwszy bowiem z kolei strzelić miał do tarczy jakiś żołnierz francuski, stary i osiwiały w wojnach a strzelec doskonały. Wszyscy byli pewni, że żołnierz ten niezawodnie trafi w sam środek tarczy i weźmie nagrodę. Francuz stanął na swem stanowisku, przycisnął karabin do ramienia, mierzył kilka minut i strzelił wreszcie. Ale z poza tarczy nie pokazał się żaden ogień sztuczny, bo kula na cal jeden po za środkiem wydrążyła sobie dziurę w tarczy.

— Jeżeli ten nie trafił, to już to wszystko pewnie na niczem się zakończy! — pomyśleli w duchu wszyscy żołnierze.

Francuski żołnierz ścisnął w rękach karabin ze złości, jakby go chciał pogruchotać i zagryzł usta. Pierwszy to bowiem raz nie udało mu się trafić z niego do celu. Jastrzębski zaś

uśmiechał się ciągle, spoglądał wesoło na swój karabin i tak się niecierpliwił, że chciał ze skóry wyskoczyć, by trafić jak najprędzej.

Przed nim jednakże strzelać miało jeszcze kilku francuskich żołnierzy. Każdy z tych żołnierzy był zawołanym strzelcem, każdy mierzył długo, ale nikt nie trafił w sam środek. Kule dokoła posiekały tarczę, a sam środek stał nietknięty.

— Teraz kolej przychodzi na was Polacy! — rzekł jenerał francuski zwracając się do kilku z polskich żołnierzy.

— Wiem, rzekł dalej jenerał francuski — że ktoś z was otrzyma nagrodę, bo pod słońcem niema lepszych od was żołnierzy.

Jenerał Wybranowski stał tymczasem na uboczu mocno zafrasowany.

— Jeżeli Jastrzębski chybi — pomyślał sobie, co wtedy powiedzą o polskich żołnierzach? A trudno, by kto z naszych trafił, skoro tylu Francuzów chybiło.

Ale lżej się zrobiło panu jenerałowi, gdy ujrzał Jastrębskiego, który wyciągnięty jak struna wyszedł z szeregu, stanął silnie na swem stanowisku i zdjąwszy karabin z pleców jakby piórko lekkie przyłożył go do ramienia.

Niemcy, co się tej strzelaninie przypatrywali, widząc takiego dużego i silnego grenadyera polskiego aż o krok w tył ze strachu się cofnęli.

I zrobiło się znowu bardzo cicho dokoła, bo wszyscy słyszeli o polskich żołnierzach dziwne rzeczy, więc ciekawi byli, czy prawda to, co o nich ludzie mówią.

Jastrzębski tymczasem wpatrzył się w sam środek tarczy, przyłożył karabin silniej do ramienia i palcem chwycił za kurek. Z ogromnym hukiem wypadł strzał i w tej chwili z po za tarczy wybuchł piękny fajerwerk, co było znakiem, że kula w sam środek trafiła. W tej chwili także ozwała się muzyka wojskowa na cześć dla celnego strzelca.

— Niech żyje Jastrzębski! — zawołali obecni przy tem żołnierze polscy.

Tymczasem jenerał francuski a za nim wszyscy żołnierze pobiegli co tchu, by się dowiedzieć, dlaczego po strzale

Jastrzębskiego tarcza odpadła od słupa, do którego przybita była grubym żelaznym gwożdziem. Pokazało się, że Jastrzębski trafił tak jak mierzył, nie tylko w środkowy punkt czarny, ale nawet w gwożdź, w skutek czego tarcza od słupa się oderwała.

Widząc to jenerał francuski, pobiegł zaraz do Jastrzębskiego, który śmiał się z tego i spokojnie karabin swój czyścił, ściskał go, ucałował serdecznie i rzekł.

— Zuch z ciebie bratku! Wiedziałem o tem, że Polacy są zawsze najdzielniejszymi żołnierzami.

Jenerał Wybranowski pobiegł także do Jastrzębskiego i uściskał go tożsamo. Ale nie dość na tem, że tak ściskano i chwalono Jastrzębskiego. Za ten celny strzał spotkał go wielki zaszczyt, bo jenerał francuski zaprosił go do siebie na obiad.

Wielki to był kłopot dla Jastrzębskiego, który jako szeregowy żołnierz znalazł się nagle przy jednym stole z tylu jenerałami i oficerami Ale nikt nie uważał na tę różnicę. Wszyscy oficerowie i jenerałowie ściskali Jastrzębskiego i pili jego zdrowie.

Gdy już się wszyscy rozejść mieli od obiadu, jenerał francuski zrobił pomiędzy starszyzną wojskową składkę na Jastrzębskiego. W jednej chwili zebrał jenerał 150 złotych dał je w darunku Jastrzębskiemu, który już przedtem za celny istrzał otrzymał z kasy wojskowej 150 złotych

Francuscy żołnierze z początku patrzali na Jastrzębskiego niechętnie, bo żal im było, że Polak wziął im z pod nosa taką piękną nagrodę, ale mimo to szanowali go bardzo potem, bo Jastrzębski uradowany bardzo tem, że przyniósł zaszczyt polskiemu wojsku, uczęstował wszystkich swych towarzyszy od serca.

Co się potem z Jastrzębskim dalej stało, powiedzieć wam nie mogę. Na naszą nieszczęśliwą ojczyznę bowiem spadły wielkie klęski. Jastrzębski jako dobry Polak i dzielny żołnierz nie puścił z rąk swych broni wtedy, gdy wszyscy nieśli życie ojczyźnie w ofierze. Więc Jastrzębski bił się za Polskę zawsze dzielnie i walecznie, aż raz w jednej bitwie

otrzymał ranę i dostał się do szpitalu w Lipsku. Rana była ciężka, więc może umarł Jastrzębski w szpitalu śmiercią chlubną, jak tyle tysięcy naszych walecznych rodaków. Ale wszyscy co z nim razem walczyli, wspominali jego imię ze czcią.

Raz spotkałem jednego starego wiarusa, co walczył razem z Jastrzębskim.

— A czy znaliście grenadyera Jastrzębskiego? — zapytałem.

— Jastrzębski? — zapytał staruszek. — Ho! ho! A któżby to nie znał takiego żołnierza? Strzelał jak djabeł, niech mu Pan Bóg tego nie pamięta. Z jego karabinu nie wypadł ani razu choćby jeden strzał daremnie!

Bartek Szkolarz.

Góral na polanie.

Jam porzucił moją chatę,
Wygnał owce do tych gór,
Co wierzchołki lodowate
Wystawiają z ciemnych chmur.
Złote niebo na zachodzie,
Pod nim kilka modrych smug,
Na równinie jak w ogrodzie
Leżą wioski u mych nóg.

Gdzie Dunajec srebrny płynie,
Kędy leży cienka mgła,
Tam ja chatę mam w krzewinie,
Tam i brat mój chatę ma.
Jak pod jesień z tej polany
Me owieczki będę gnał,
Będzie księżyc wyzłacany
Popod czystem niebem stał.

J. P. T.

Św. Wojciech i jego pomnik
w katedrze gnieznieńskiej.

Przez Jana Kantego Gregorowicza.

Dzień św. Wojciecha kościół jak wiadomo obchodzi 23. kwietnia i to z wielką uroczystością jako poświęcony uczczeniu pamięci męczennika, który wierny obowiązkom swego powołania legł pod ciosami pogańskiego barbarzyństwa. Święty ten urodził się w r. 956 na ziemi Czeskiej z ojca Sławnika hr. na Libiczu i matki Strzeżysławy, równie ze znakomitego pochodzącej rodu. W owym czasie Czechy jak i inne pobratymcze narody Słowiańskie byli jeszcze poganami. Wprawdzie wiara chrześcijańska znaną im była, naród uważał się nawet za

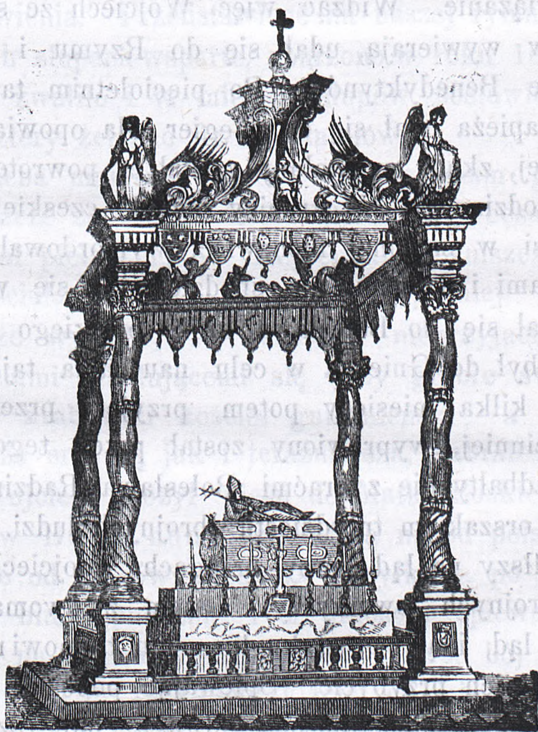
wyznawców nauki Chrystusa, ale w gruncie był jeszcze pogańskim, i tylko mała ilość mieszkańców pojmowała należycie światło prawdziwej wiary i pragnęła jak największego jej rozszerzenia. Do tych szczupłych w liczbie należał hrabia Sławnik z żoną swą Strzeżysławą, których jako ludzi sprawiedliwych, pobożnych, miłosiernych, nie tylko uwielbiał lud ubogi, ale i zamożni czcili i szanowali.

Młody Wojciech w młodzieńczych swych latach przeznaczony był do życia świeckiego, aby mieczem służył krajowi i pomnażał jego sławę pomiędzy ościennemi ludami. Ale uległszy niebezpiecznej chorobie, kiedy rodzice stracili wszelką nadzieję ocalenia jedynego syna, zaniesiony został do kościoła, położony na ołtarzu Matki Zbawiciela, z obietnicą poświęcenia go służbie Bożej, gdyby cudownym sposobem wrócił do sił dawnych i zdrowia. Bóg ulitował się, dziecię ozdrowiało i rodzice zaczęli przygotowywać go do spełnienia uczynionych ślubów. Wyuczywszy się więc pisania, czytania, pierwszych zasad chrześcijańskiej wiary i całego psałterza na pamięć, w szesnastym roku swego życia, wyprawiony został do Magdeburga posiadającgeo przy klasztorze św. Maurycego szkołę nader słynną i chwaloną powszechnie. Po dziewięcioletniej pilnej nauce, Wojciech mając lat 25, wrócił do rodzinnego kraju i zaczął się przygotowywać do przyjęcia święcenia kapłańskiego. W czasie ceremonii kościelnej, kiedy powstał biskup pragski Therat, aby dopełnić ostatniego obrzędu, powstał i hrabia Sławnik wraz ze swą zacną małżonką i wyciągając ręce po nad głową ukochanego syna, odezwał się silnym acz rzewnym głosem:

— Oddaję Ci Boże com miał najdroższego, jedyne dziecię mego pacholęcego domu, jedyną nadzieję sławnego i starożytnego naszego rodu. I oddaję Ci je z sercem chętnem i radosnem, bo dla rozszerzenia Twej chwały, dla wyrwania dusz ludzkich z pogańskiej mocy, nie ma ofiary dość wielkiej któraby była nad siły człowieka. Idź więc i pracuj, ucz słowem, zachęcaj przykładem, głoś prawdę, walcz fałsz i kłamstwo: nieulękły nigdy, nieustraszony, nawet nietrwożny, z raz obranej drogi nie ustąp ani kroku; bądź jak

skała wśród morskich otchłani, jak orzeł po nad Karpat szczytami, ale nigdy nie zapomnij o obowiązku jaki poślubiłeś. Gdybyś zaś kiedy powodowany słabością, zapomniał o swem przeznaczeniu, o kraju i ziomkach, i powodowany ponętami świata, sponiewierał anielską szatę, w jaką cię dostojne ręce biskupa przystroją, wówczas i ja również zapomnę że mam syna i rozbolały sercem rzucę na twoją głowę przekleń....!

— Ojcze! nie kończ — przerwał Wojciech zrywając się z kolan, — czyż to ma być ostatnie słowo, z jakiem mnie wyślesz wciernistą drogę mego zawodu?



Pomnik św. Wojciecha przed r. 1840.

— Dziecię moje ukochane — odezwała się matka zalana łzami — gołąbeczku mojej duszy, posłanniku zgody i pokoju pomiędzy ludźmi! Dla szczęścia twego oddałabym chętnie ostatnią krwi kropelkę, a jednak wyszafuj wszystką, jaka płynie w twoich żyłach, dla miłości Boga i szczęścia ludzi, braci twoich w Chrystusie. Oby Bóg wszechmogący w dniach osłabiena był ci podporą, w zwątpieniu pokrzepieniem i oby ci tak zawsze błogosławił jak ci błogosławię w tej chwili,

sercem przejętem zarówno radością że cię poświęcam na tryumf wiary chrześcijańskiej, jak i boleścią, że cię tracę dla żywota mego ziemskiego.

Z takiem to podwójnem błogosławieństwem Wojciech namaszczony został na przyszłego męczennika, a przejęty ważnością poślubionych obowiązków, wkrótce zasłynął pobożnością i tak świątobliwem życiem, że po śmierci biskupa Therata obrany został na jego miejsce i zasiadł na biskupiej stolicy. Ale naród Czeski, jak powiedzieliśmy, nie był jeszcze wtenczas czysto chrześcijańskim i do dawnego poganizmu miał silne przywiązanie. Widząc więc Wojciech że starania jego mały wpływ wywierają, udał się do Rzymu i zamknął się w klasztorze Benedyktynów. Po pięcioletnim tamże pobycie z rozkazu Papieża udał się do Węgier dla opowiadania nauki ewangelicznej, zkąd przywołany został z powrotem do Czech jako kraju rodzinnego. Na granicy jednak czeskiej, dowiedział się, że Czesi w szalonej nienawiści wymordowali braci jego wraz z żonami i dziećmi, nie spodziewając się więc żadnego pożytku, udał się do Bolesława króla polskiego i z końcem r. 996 przybył do Gniezna w celu nauczania tajemnic nowej wiary. W kilka miesięcy potem, przyjęty przez Bolesława jak najgościnniej, wyprawiony został przez tegoż Wisłą na Pomorze Nadbałtyckie z braćmi Bolesława Radzinem i Benedyktem i z orszakiem trzydziestu zbrojnych ludzi.

Wysiadłszy na ląd przy brzegach Wojciech odpra-wił statek i zbrojnych towarzyszy, a sam z dwoma kapłanami wyszedł na ląd, idąc wprost ku licznemu tłumowi mieszkańców, zbiegłemu na ich przybycie. Śpiewając pobożne psalmy szedł ciągle naprzód z nieustraszoną odwagą, lud rozstępował się z poszanowaniem, ale jeden z pomiędzy ludu nagle uderzył go silnie wiosłem, tak że Wojciech padł na ziemię jakby nieżywy. Wróciwszy jednak do przytomności, przeprawił się na drugą stronę rzeki i przez las wyszedł na pole ciągnące się aż do Romowe, miejsca słynnego pogańską świątynią. Tam to poganie napadli na śpiących, skrępowali, a jeden z nich utopił włócznię w piersiach Wojciecha. Upadł zamordowany d. 23. kwietnia 997. r. i dlatego dzień ten na święto dla tego męczennika

przeznaczony został. Towarzysze jego zdoławszy szczęśliwie wydobyć się z rąk pogańskich wrócili do Bolesława, który zwłoki św. Apostoła wykupił.

W mieście Trzemesznie jest kościół starożytny, w którym król Bolesław złożył najprzód zwłoki św. Wojciecha, ztąd zaś przeniósł je do Gniezna, gdzie spoczywają w wspaniałym grobie w pośrodku kościoła, który przedstawia rycina, tak, jak wyglądał przed dwudziestu kilku laty. Na skrzydłach orłów wznosi się srebrna trumna ze zwłokami, na niej zaś spoczywa ulana także ze srebra postać świętego jakby podnosząca się dla błogosławienia. Przedstawione na naszej rycinie sklepienie na kręconych słupach wsparte, zburzono w roku 1840 z obawy aby się nie zwaliło i w miejsce słupów postawiono w około grobowca cztery żelazne figurki aniołów.

Nie trzeba mniemać, że to jest ten sam grobowiec do którego jeszcze za czasów króla Bolesława cesarz niemiecki Otto odbywał pielgrzymkę. Tamten uległ zniszczeniu podczas pożaru kościoła, równie jak kilka później wzniesionych. Dodać także wypada, że rozmaici nieprzyjaciele zwabieni kosztownościami znajdującemi się przy grobie św. Wojciecha kilkakrotnie zrabowali kościół gnieźnieński, a przedostatnią trumnę, także srebrną jak i teraźniejsza, zabrali Szwedzi.

Św. Wojciech ułożył pieśń do Matki Boskiej zaczynającą się od słów Boga rodzica, którą naród polski tak sobie upodobał, że od czasów Bolesława nietylko ją po kościołach ale i na polach bitew pobożnie i z ufnością spiewano, a nawet z tą pieśnią na ustach wojsko polskie zawsze bój rozpoczynało; w Krakowie zaś ile razy nieprzyjaciel do miasta się przybliżał, wytrębywano ją z wieży, a na to hasło mieszczanie za broń chwytali i biegli tłumnie na obronę murów ich pieczy powierzonych. Gdy ostatni z starodawnych rycerzy polskich legli w krwawym boju za ojczyznę, skonały na ich ustach ostatnie dźwięki pieśni Bogarodzica i już nie ożyły. Odtąd nie spiewano jej, zapomniano i dziś nikt jej nie umie. Tylko w katedrze gnieźnieńskiej słyszeć ją można jeszcze, śpiewaną tak samo jak za polskich czasów co niedzielę. Po nabożeństwie czterech księży wychodzi na środek kościoła, stają w półkole przed

srebrną trumną i spiewają pieśń Bogarodzica. Kościół jest tak zbudowany, że chociaż tylko cztery odzywają się głosy, sklepienie stokrotnym grzmotem rozmnaża każdą nutę; słysząc to któż się nie ukorzy w duchu, kto nie uczuje w sercu szczęścia, że mu dano zasłyszeć jakby echo owych bolesławowskich czasów, w których poczęła się miniona wielkość i sława naszej ojczyzny. r.

Dwa krzyże.

przez ks. Wojciecha z Zaleszan.

Są u nas takie miasta i wsie, które zostały nazwane na wieczną pamiątkę od tych krolów, biskupów i panów, co je fundowali. Na ten przykład Lwów nazwany jest tak od jednego księcia, który to miasto fundował i miał imię Lew, Kraków nazwany od swego fundatora Krakusa, Tarnów nazwany od swego fundatora pana Tarnowskiego; Stanisławów nazwany od swego fundatora pana Stanisława Potockiego; Przemyśl i Jarosław od swych fundatorów książąt Przemysława i Jarosława i t. d. Tak samo jest wieś w górach, co się zowie Wieś biskupia, bo ją fundował biskup krakowski, do którego należały te góry z lasami, wodami, miastami, i gromadami, a dostało się to wszystko biskupom od pobożnych królów polskich. Zabrali zaś to Niemcy i Moskale i trzymają dotąd albo już wyprzedali. Otoż przejeżdżałem z moim furmanem Szymonem Gardzielem dwa roki temu i przez tę wieś biskupią. Patrzę a tu kościół murowany, jakby farny w mieście, wieża z zegarem starym, a zaraz szkoła murowana z sadowiną, pasieką i ogrodem warzywnym, gdzie się dzieci uczą drzewka sadzić, szczepić, czyścić, gdzie się uczą chodzić koło pszczół i ogrodowiny, a więc znają na książkach, znają pieśni nabożne, znają opowiadać o królach, biskupach, panach dawnych, a naostatek znają ule robić, ustawić dobrze w pasiece i rój osadzić, znają różne warzywa w ogrodzie siać, sadzić, a niejedno dziecko zna i krawiectwo, bednarstwo i różne roboty. Widząc to pomyślałem sobie:

— Mój Boże! dawni ludzie wiedzieli jakoś, co im potrzeba! mieli na kościele zegary, kościoły murowali, szkoły murowali aby długie stały lata, a dzieci ich uczyły się dużo rzeczy, które się w życiu każdemu przydadzą — a dziś tego nie ma; mówię do Szymona.

— Widzicie Szymonie, co tu dobrego w tej wsi?

A Szymon na to:

— To wszystko ofiara biskupów krakowskich; górale mieli tu prawa dobre, dbali o siebie, dlatego mieli się dobrze, i dziś są tu tacy gazdowie, co pokończyli szkoły w Krakowie, potem osiedli na gruncie i są mądrymi gazdami. Ale! pokażę też Jegomości tam za wsią dwa krzyże, o których opowiadają górale ciekawe historye.

— No! mówię ja, to naprawdę dziwne rzeczy, bo ja wiem, że się stawia jeden krzyż, albo trzy krzyże, ale o dwu krzyżach razem tom jeszcze nie słyszał nigdzie.

I naprawdę zobaczyłem między gruntami na czystem polu dwa krzyże i jakieś drzewo zielone w środku. Na szczęście moje nadszedł stary góral, a ja powitałem go naprzód pochwaleniem Boga i mówię mu:

— Na jakąto pamiątkę postawiliście tam na polu te dwa krzyże?

Góral stary rzecze:

— To pamiątka i nauka dobra po dwóch gazdach, Macieju Srokaczu i Janku Gawronie, którzy mieli tu grunta razem, a tam, gdzie stoi to zielone drzewo między krzyżami, szła miedza graniczna, a na tej miedzy była wielka jabłoń. Otóż zawsze tak dziadkowie jak i potomki ich żyli w świętej zgodzie, nigdy miedzy tej nie ruszali i nie krzywdzili, a jak Pan Bóg zarodził jabłka na jabłoni i kiedy już były dobre do jedzenia, to szły dzieci tych gazdów, otrzęsły razem jabłka, zebrały na kupę, a potem podzieliły się ćwiercią sprawiedliwie na dwie równe części i poszły w zgodzie i cicho do domu, dziękując Bogu za smaczny owoc. Bo to powiadają tak starzy ludzie: Gdzie żyją ludzie w zgodzie, tam im bieda nie dobodzie, a gdzie są gniewy, swary, tam bieda zawsze do pary.

— Święte wasze słowa staruszku kochany! rzekłem; a u nas tak mówią o tem:

— W zgodzie robią się wielkie rzeczy z niczego a przez kłótnię zrobi się złe z dobrego. I gdyby to ludzie trzymali się tej prawdy i słuchali przykazu Boskiego, toby było wszystkim dobrze, nie byłoby gniewu, kłótni ani procesów na świecie, a najbiedniejszy pomieściłby się zawsze między bogaczami.

— Tak Jegomość! to prawda boska, rzecze góral staruszek, tak samo słowo w słowo stało się z tymi gazdami Srokaczem i Gawronem. Dopóki żyli w zgodzie, to siali, orali i jabłka zbierali, i każdy miał suszone i pieczone podostatkiem, a jak się pokłócili i w prawa się wdali, to poszło suszone i pieczone, poszedł grosz z domu za biednym jabłkiem.

— A to jakim sposobem porobiło się tak? spytałem ciekawy.

— Wszakto nie nowina i niepierwszyna na świecie! rzecze staruszek; jak długo nie ma śmiecia na progu, to drzwi nie skrzypią i dobrze się otwierają, niechno tam zaleci jakie śmiecie, to się drzwi odzywają i źle się zapierają. Tak i między ludźmi! Jak zły człowiek zalezie między kumów i braci, to ich tak pokłóci, że jeden drugiego zatraci. Otóż był tu niedaleko znowu Łukasz Nosal, a już widać miał to przezwisko od ludzi dla tego, że wszędzie wtrącał nosa, choć tam nie dał grosza; zawsze umiał tak się łasić i przyczaić, jakby był niewinnym barankiem, a potrafił znowu takie słodkie słówka głosić, że się wydawał być aniołkiem, a był to szkodnik i niecnota, iż szkoda było że go święta ziemia nosiła. Otóż poradził on raz tak Maciejowi Srokaczowi: Wiecie wy Macieju, że wam należałoby się co rok więcej jabłek z tej jabłoni na miedzy, bo nad waszem polem ma ta jabłoń daleko więcej gałęzi, a jak się jabłka trzęsą, to dwa razy tyle jabłek spada na wasze pole — a ten Janko Gawron bierze niesprawiedliwie tyle co wy.

Maciej zrazu zmiarkował, że to prawda, bo nad jego zagonami było więcej gałęzi i mówi do Nosala niecnoty:

— A cóżby tu zrobić takiego, aby można dojść swego? dotąd nie uważałem tego, że ta jabłoń stoi tak, jak na mojem polu.

A w to graj Nosalowi, temu kłótnikowi! otóż rzecze on do Macieja tak:

— Ja wam napiszę darmo skargę do wójta, aby zrobił sprawę i aby wam Janko Gawron zapłacił za cały ten czas, odkąd zabierał jabłka z gałęzi nad waszem polem — a może się tak ugodzi z wami, że cała jabłoń do was należeć będzie.

— Już naprzód zgadnę, rzekłem na to, że wójt nie zważał na zgodę dawną i za napitek przyznał sprawę Maciejowi a za to dostało się coś i Nosalowi, bo tacy pisarze i pijacy napisaliby skargę i na pana Boga, jakby im kto dał pić i do kieszeni co wtrącił.

— A tak na włos się stało! rzecze staruszek; tapierwsza kłótnia między sąsiadami i to o marne jabłka, narobiła wrzawy w całej wsi między góralami i przyniosła stratę dla obu tak wielką, żeby było parę koni za to. Cały tydzień pili i radzili, pytali i gadali, na pole pod jabłoń chodzili i mierzyli, potem na korce rachowali, to ujmowali to dodawali, aż na końcu dekret wydali, aby Gawron zapłacił Srokaczowi Maciejowi za 20 lat, co rok rachując pół korca jabłek. Ale Nosal podszedł znowu Janka Gawrona i powiada słodziutko: Słyszycie wy Janie! bylibyście głupi, żebyście na to prawo wójta przystali, ja wam napiszę aż do Krakowa skargę na Macieja i wójta, a zobaczycie, że wygracie — trzeba wam będzie co stracić, ale wolicie stracić niż durnemu Maćkowi zapłacić.

— A to niecnota dopiero rzekłem, z tego Nosala, żeby durzyć tego na owego, a buntować znowu jednego na drugiego i tak całą wieś zaprzątać i poplątać! a tu nikt się nie poznał na takim lisie! ale widzi mi się, że on obu tych sąsiadów w pole wyprowadził.

— Oj bo wyprowadził! rzecze góral, rozpoczął się proces na śmierć między góralami. Naraz dostali pozew do Krakowa tak Maciej jak Janko, i każdy nabrał na furę swoją świadków. A Nosal podszedł znowu jednego i drugiego. Maciejowi dał list taki: Proszę pana urzędnika trząść dobrze tę jabłoń i długo, bo na niej są złote jabłka! i powiedział mu, aby list oddał w sądzie. A znowu potajemnie dał list Jankowi taki: Proszę pana urzędnika trząść i tę jabłoń dobrze, bo to bogacz i może płacić — i kazał mu ten list oddać w sądzie. — I tak każdy pojechał z listem i wierzył że wygra.

Na to rzekłem zdziwiony:

— Może też Bóg jakim cudem otworzył oczy tym zaślepionym sąsiadom, że się poznali na cygaństwie

— Tak się stało, powie staruszek. Wypadło im nocować w jednej gospodzie na drodze — nuż więc przy furach w sieni do przymówek i wypominania o czasach zgody, cichego życia, aż jeden z górali zawołał: Otwórzcieno wasze listy, a ja przeczytam co wam Nosal popisał. Otworzyli, przeczytali to się śmiali, to gniewali, całą noc nie spali ale przegadali, ręce sobie podali, pięknie się pojednali a rano do wsi nawrócili i całą drogę się dziwili, że przez tyle lat w zgodzie byli a przez jednego złego się pokłócili i na wielkie straty narazili i w proces się w taki wdali, żeby byli konie i krowy sprzedali, a w końcu suchą jabłoń wygrali A gdy przyjechali do wsi i przeczytali te listy od Nosala, oj byłaż mu ciężka niedola! musiał niebożątko stratę wrócić, i do Boga się nawrócić i pisarstwo zarzucić, a pokutował też pokutował, bo go palcem lada kto pokazywał a jeszcze dziś mówią górale tak:

— Jeżeli chcesz popaść w jaką zdradę, to idź do Nosala po radę!

— Dobrze się stało! rzekłem, ale na cóż te dwa krzyże stoją tu?

— To na pamiątkę i naukę postawili te krzyże Maciej Srokacz i Janko Gawron, każdy na swojem polu tak, że jabłoń została w środku, aby każdy wiedział, że kto idzie w proces, to niech się na krzyż gotuje, a kto idzie do zgody to niech szczęścia oczekuje, bo krzyż święty jest znakiem cierpienia i wiecznego zbawienia. Odtąd cicho w naszej biskupiej wsi jak mak siał, dzieci się uczą, górale pracują, a każda sprawa kończy się w szkole, przed krzyżem a nigdy w arendzie.

— Chwała Bogu! powiedziałem, to doskonale! oby tak wszyscy u nas robili, jak robią górale a wam staruszku wielkie Bóg zapłać za to opowiadanie, które pójdzie do Dzwonka na czytanie, aby ludzie dobrze rozumieli, co to pisarze i proceśniki wyrabiają, jak waśnią i okpiewają, aby się sami godzili przed ołtarzem albo pod krzyżem.

Róbcież tak moi kochani i żyjcie z Bogiem.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.